

POBYT W HALBAU

W obozie Gross-Rosen nie pamiętam na którym bloku mieszkałem. Przez okres dwóch tygodni chodziłem do pracy w kamieniołomach. Była bardzo upalna pogoda, wynosiliśmy głązy kamieni po kamiennych długich schodach do góry na powierzchnię. Była to praca mordercza, lała się krew z ciała otartego głazami kamieni, a nie wolno było ani na chwilę odpocząć, bowiem groziło to dobitciem przez kapo.

W drugiej połowie lipca 1944 roku zostało utworzone Komando "Arbeitslager Halbau" w którym przebywało około 1000 więźniów głównie Polaków. Byli wśród nas również Rosjanie, Czesi, Belgowie i Francuzi, a także Niemcy, którzy przeważnie pełnili funkcje kapo w obozie lub bloketestera. Lagerältesterem był Niemiec, kryminalista, już 8 lat siedzący w więzieniu niemieckim, pochodzenia polskiego o nazwisku Kaczyska Stanisław. Sadysta do przesady. Za byłe przewinienie bił więźniów dębową pałą aż do upadłego. Pamiętam pierwsze dni po przywiezieniu nas z Gross-Rosen do Halbau byliśmy zatrudnieni przy porządkowaniu terenu obozowego nowo założonego. Jeden z kolegów odskoczył na bok od ogrodzenia i wyrwał z pola brukiew. Zauważył to pilnujący SS-man, strzelił do więźnia, a lagerältester Kaczyska natychmiast sprowadził więźnia na plac obozowy, zawiesił nogami na drągu przygotowanym do wieszania więźniów, zaczął kopać wiszącego więźnia w głowę, wziął od SS-mana karabin, bił kolbą, a następnie przebił wiszącego bagnetem nasadzonym na karabin. Był to widok szokujący dla zebranych przymusowo więźniów na placu. Penze lagerältester Kaczyska znęcając się na młodym chłopaku, kilkunastoletnim więźniu, uprawiał na nim homoseksualizm, oczywiście lepiej go odżywiał, a nawet nie wysyłał do pracy.

Pracowaliśmy w przemyśle lotniczym w fabryce śmigieł samolotowych Winklera. Była to praca bardzo ciężka, w kurzu i wyczerpująca. Przy tym Lagerältester gdy zauważył któregoś z więźniów odpoczywającego to oczywiście z miejsca wymierzał karę biciem pałą dębową. Do pracy z obozu do fabryki byliśmy prowadzeni przez SS-manów kolumną. Odległość 5 kilometrów. Była to ciężka podróż w drewniakach, zwłaszcza przy ciężkiej śnieżycy i mroźnej zimie, a pasiaki stanowiące naszą odzież niewiele nas zagrzały. Zimno było również w barakach zbudowanych z desek prześwitujących na dwa palce, nie ogrzewanych. Spaliśmy pod jednym cienutkim starym kocem. Staraliśmy się łączyć w spaniu po dwóch i okrywać się dwoma kocami, ale musieliśmy to robić skrycie przed Lagerältesterem. Jedną godzinę przed spaniem prawie nago był obowiązek szukania wszy tzw. "leusensuchen" w bieliźnie i ubraniu.

Wyżywienie było głodowe - na śniadanie garnuszki kawy i pajdka chleba. Na obiad zupa, można by rzec, sporządzana przeważnie z różnego zielska. Na dodatek z przydzielonych produktów na kuchnię więźniarską Lagerältester Kaczyska okradał i przydzielał na kuchnię dla SS-manów.

W czasie przemarszu z fabryki do obozu o ile sobie przypominam odbyły się cztery ucieczki indywidualne więźniów. Z tego trzy nieudane, gdyż uciekający więźniowie zostali schwytani i najdalej do trzech tygodni doprowadzeni do obozu, a więźniowie wszyscy w obozie za karę musieli stać na placu obozowym do czasu sprowadzenia zbie-

głych więźniów. W tym czasie nie wolno ani usiąść na ziemię, ani oprzeć się o kolegę stojącego obok. Po sprowadzeniu na oczach więźniów całego obozu schwytyany więzień był wieszany za nogi lub ręce na drążku, bity i kopany przez eltestera, a niekiedy i przez kapów i oczywiście przez SS-manów aż do utraty przytomności i znaków życia. Jedynie ucieczka czwartego więźnia udała się, a był nim Jeniec rosyjski w stopniu majora. Nie od rzeczy będzie wspomnieć urządzenie przez Lagerältestera kolacji wigilijnej Bożego Narodzenia dla wybranych przez niego więźniów zasiadających przy wspólnym stole. Na stół został postawiony na półmisku kot obdarty ze skóry i zakrwawiony. Mimo obrzydzenia na siłę trzeba było z tego kota zjeść kawałek mięsa. Oczywiście nie wszyscy mogli zjeść taki kasek mięsa, ale wówczas nie dostali innej potrawy.

W miesiącu lutym 1945 roku wszyscy więźniowie podobozu Halbau zostali ewakuowani do obozu Bergen-Belsem. Przez pierwsze dwa tygodnie szliśmy pieszo poprzedzielani w kolumnie drążkami drewnianymi okręconymi na linach, a na końcu kolumny umocowane na linach przyczepy z rzeczami SS-manów musieliśmy ciągnąć opierając się o drążki. W ostatniej przyczepie jechali zasłabnięci po drodze więźniowie, którzy w miarę napełniania przyczepy na przestrzeni 3-ich do 5 kilometrów zostali opróżnieni z przyczepy, rozstrzelani na miejscu i zagrzebani na poboczach drogi.

Ja osobiście najbardziej kryzysowy przemarsz miałem w pierwszy dzień i noc marszu. Rano tegoż dnia z grupą więźniów ok. 100 osób wysłano nas do kopania okopów przed zbliżającym się frontem. Gdy przyprowadzono nas z okopów po południu, to już wszyscy więźniowie stali uformowani na placu apelowym, do wymarszu. Nam kazano natychmiast zrolować się i zabrać ze sobą oraz przybory osobiste i szybko dołączyć do kolumny.

Po całodzienniej pracy przy kopaniu okopów i kilkunastu kilometrów przemarszu do i z okopów, na głodno i nawet bez możliwości napięcia się wody, kompletnie wycieńczeni wyruszyłem w kolumnie w drogę.

Po przyjeździe kilku kilometrów poczułem się słaby, nie mogąc dalej iść. Powiedziałem kolegom, że wychodzę z kolumny na przyczepę. Jednak koledzy nie pozwolili mi wyjść z kolumny i po prostu nieśli mnie zawieszono na drążku pocieszając, że niebawem będzie odpoczynek. I tak zawieszony na drążku przy pomocy kolegów doszedłem na plac fabryki papieru, gdzie nastąpił porogodzinny odpoczynek. Dano nam po pajdce chleba i garnuszek gorącej kawy. Dla mnie ten moment wypoczynku był przełamaniem kryzysu, gdyż dalszą podróż pieszą, a po dwóch tygodniach jazdę w wagonach towarowych aż do obozu Bergen-Belsen zniosłem względnie, nawet udzielając pomocy innym kolegom. O ile się nie mylę, to ewakuacja nasza trwała ponad miesiąc a co najmniej połowa naszego Komanda w czasie ewakuacji zginęła tzn. zostali rozstrzelani lub zmarli na skutek wycieńczenia. Pozostała część przy życiu więźniów Komanda Halbau po pobycie w obozie Bergen-Belsen, nazwał bym obozem śmierci - wśród panującej epidemii różnych chorób - prawie wyginęła, bo na dzień wyzwolenia obozu przez wojska alianckie, pozostało przy życiu zaledwie 29 osób.

Dnia 8 maja 1945 roku około godziny 8 rano przelatujący nad obozem samolot angielski obwieścił wolność a za chwilę do obozu wkroczyły wojska angielskie. Były to chwile wielkiej wzruszającej radości. Po czym nastąpił okres wzmożonej śmiertelności, ponieważ Anglicy dostarczyli do obozu więźniom bez ograniczeń do spożycia mięso, tłuszcze, słodczyce, a to na głodne wycieńczone żołądki i organizm spowodowało wzrost śmiertelności.

Ja oczywiście z grupą kolegów w liczbie 12 nie czekając na przebycie okresu kwarantanny, opuściliśmy nielegalnie obóz, przecho-

dząc przez druty, udaliśmy się na wieś w odległości ponad 20 km od obozu i zatrzymaliśmy się w dużym majątku ziemskim niemieckim, administrowanym przez właścicielkę majątku, a mąż jej jeszcze nie powrócił z wojny. Tam przebywaliśmy przez okres ok. 2 miesięcy, kurując się stopniowo, przychodziliśmy do zdrowia. Stołowaliśmy się w stołówce majątkowej. Aż pewnego dnia właścicielka majątku sprowadziła angielskiego komendanta danego powiatu do majątku, który polecił zwołać nas przed pałac majątku i oświadczył nam że musimy w majątku podjąć pracę - recytując "ażeby żyć trzeba pracować". My odpowiedzieliśmy komendantowi, a także i właścicielce majątku, że ponad 5 lat ciężko pracowaliśmy niewolniczo i bezpłatnie w warunkach głodowych, aż do utraty zdrowia, dla III Rzeszy, a z chwilą upadku III Rzeszy i odzyskania wolności, należy się nam kuracja i odpoczynek w celu odzyskania utraconego zdrowia, gdyż do pracy nie jesteśmy zdolni.

Jednak oświadczenie komendanta angielskiego było stanowcze i nieodwołalne, więc na własną rękę po zorganizowaniu rowerów, udaliśmy się na rowerach w drogę do Ojczyzny. W grupie dojechaliśmy do Berlina. W Berlinie zatrzymały nas władze rosyjskie. Tam nas rozdzielano. Ja z kolegą Lenardem Zdzisławem przyjechaliśmy pociągiem do Polski.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.13.3.8.

FILIA GROSS - ROSEN W HALBAU

Pierwszy transport więźniów z obozu Gross-Rosen przybył do Halbau 18 Lipca 1944 roku. Był to duży transport liczący ponad 1000 więźniów. Obóz był usytuowany w odległości 1 kilometra od stacji kolejowej Halbau i fabryki - przemysłu lotniczego Winklera. Obecnie miejscowość ta nazywa się Iłowa, położona w woj. zielonogórskim. Zanim przybył pierwszy transport obóz był już częściowo przygotowany /ogrodzenie, budki wartownicze, brewniane baraki - bez kanalizacji/. Przylegał on jedną stroną do polnej drogi i z 3-ch stron otoczony był lasem.

W pierwszym transporcie więźniów znaleźli się przeważnie Polacy - głównie więźniowie polityczni z transportu lipcowego z Pawiaka, Rosjanie - kilkudziesięciu, wśród nich oficerowie, Niemcy - kilku kryminalistów, Francuzi - więźniowie polityczni.

Po pewnym czasie stan obozu powiększył się, gdyż napływały dalsze transporty więźniów. We wrześniu przybył większy transport więźniów z Powstania Warszawskiego, liczący około 400 osób, akowcy - a wśród nich młodzioci. W grudniu przybył transport więźniów żydowskich - około 150 osób.

W grupie więźniów Polaków znaleźli się lekarze /np. dr med. Zaczek, lek.dent. Feliński, mgr farm. Begier/, inżynierowie, np. Skupczyński Mieczysław, Kulikowski Antoni, profesor /nazwisko niezapamiętane/, sportowcy, np. czołowy pływak Kapiński, sportowiec K.R. "Skra" Stępkowski Zygmunt, artysta malarz Borowski, oficerowie WP. np. Byrski Władysław, Dolata, studenci np. Jankowski Stanisław, Dawidowscy, dr. praw Zaręba Ludwik ponadto fachowcy różnych branż, uczniowie szkół.

Zaraz po przybyciu pierwszego transportu do Halbau zaczęto organizować administrację wewnątrz obozową. Z grupy więźniów znających język niemiecki zgłosili się - w większości wytypowani przez współwięźniów - i zostali wyznaczeni na blokowych: bloku Nr 1 - Franek /nazwisko niezapamiętane, zm. w Bergen-Belsen/, bloku Nr 2 - Felek /nazwisko niezapamiętane, zm. w Bergen-Belsen/, bloku Nr 3 - Józek /nazwisko niezapamiętane, zm. w Bergen-Belsen/, bloku Nr 4 /młodzioci/ - Dolata /los nieznany/, bloku Nr 5 - Polak /nazwisko niezapamiętane, bloku Nr 6 - Zdanowski Jerzy /warszawiak/, bloku Nr 7 - Fred Wiruk, bloku Nr 8 - Emil /Francuz, nazwisko niezapamiętane/. Blokowi wyznaczali do pomocy sztabowych, spośród więźniów polskich min. Chmara Henryk, Olesiński Stanisław. Na funkcję Lagerkapo został wyznaczony Wiśniewski Zygmunt. W szrajbsztubie SS zatrudniono d-ra. praw Zarębę Ludwika, Szwackiego Juliana i jeszcze jednego Polaka /nazwisko niezapamiętane/. W szrajbsztubie obozowej zatrudniono 2 pisarzy, więźniów - Polaków. Po pewnym czasie do grupy pisarzy, dołączono inż. Skupczyńskiego Mieczysława, przydzielając mu ewidencję poszczególnych komand, na podstawie której obóz rozliczał się z fabryką. Na funkcję Lagerältestera został wyznaczony już w Gross-Rosen Kaczyska Stanisław, kryminalista niemiecki, - przez cały czas istnienia obozu był on dla więźniów katem. Ponieważ w fabryce pracowało około 1000 więźniów, wyznaczono na Wer.e-kapo Rajnisza - Polaka i 10 kapów grupowych min. Szymański Mieczysław. Ponadto utworzono ko-

mando elektryków /15 więźniów/, kapo inż. Pożniak, k mando budowlane /25 więźniów/, podlegało lagerkapo Wiśniowskiemu Zygmuntowi, komando kuchni /15 więźniów/, kapo Emil /Francuz/, komando transportu około 30 więźniów - kapo Czech.

Tak więc najważniejsze funkcje obozowe zostały obsadzone przez polskich więźniów politycznych - co miało zasadnicze znaczenie dla zlagodzenie losu więźniów.

Początkowo w obozie było 5 bloków mieszkalnych drewnianych i 1 murowany. W każdym około 200 więźniów. W późniejszym okresie obóz rozbudowano /przez więźniów/ i powiększono ich ilość do 8-miu bloków. Po przybyciu transportu z Powstania Warszawskiego blok Nr 4 wyodrębniono dla młodocianych, a po przybyciu transportu Żydów /w grudniu 1944r./ przeznaczono dla nich Blok Nr 1. Bloki były pozbawione kanalizacji, prysze do prania - 3 piętrowe. Na wprost kuchni był kran z wodą pitną, obok koryto /bez zadaszenia/ jako umywalnia obozowa. Latryna /dół i 2 drągi/ znajdowała się na placu ogólnym. W każdym bloku był 1 piecyk przenośny Żeliwny - nie mógł on ogrzać bloku.

Ubranie więźnia to obozowe pasiaki otrzymane w Gross-Rosen. Żadnego innego wyposażenia więzień nie posiadał. Do spania 1 koc - kiedyś był on kocem, obecnie kawałek łachmana. Wyżywienie więźnia oscylowało na granicy biologicznego istnienia: "pajdka" chleba rano /z czego był ten chleb niewiadomo/, trochę melasy, czasami twarożek i kawałek margaryny; obiad - zupa z buraków pastewnych lub budyli, na kolację - kawa i polewka. Więźniom otrzymującym paczki z domu dostarczano je już okradzione przez komendę obozu. W fabryce wydawano niekiedy bony premiowe za przekraczanie normy. Za te bony nie było co kupić /czasami ślimaki/. Ponadto, bony otrzymywała niewielka liczba więźniów, a często nawet ci, którym bony przyznawano, pozbawieni byli zakupu za najdrobniejsze przewinienie. Nic dziwnego że przy takim głodowym wyżywieniu i przy ciężkiej pracy więźniowie dostawali opuchlizny, flegmony i biegunki.

Dzięki inicjatywie inż. Skupczyńskiego powstała w obozie specjalna izba /krankosztuba/ dla wyczerpanych pracą więźniów. Tam więźniów krańcowo wyczerpany mógł przez dzień lub kilka dni odetchnąć. Była to ryzykowna pomoc. Zorganizowanie tego "schroniska" zostało zaatakowane przez dyrekcję fabryki. Postawiono inż. Skupczyńskiemu zarzut, że brakuje ludzi do pracy. On zaś argumentował swoje posunięcie faktem przedłużania tym sposobem egzystencji dobrych fachowców. Udało mu się to, ale musiał w przyszłości konsultować każde skierowanie na odpoczynek z lekarzem obozowym.

W pewnym stopniu ratunkiem dla więźnia był rewir, prowadzony przez dr-a Żaczka - Polaka. Jednakże brak leków uniemożliwiał skuteczną pomoc. Często wizytował rewir Kaczyska i sam osobiście przeprowadzał selekcję chorych. Mimo starań i odwagi więźniarskiej organizacji obozowej śmiertelność na rewirze była duża. Zmarłych lub nie nadających się do pracy "muzukmanów" początkowo odwożono do Gross-Rosen. W niektórych przypadkach grzebano zwłoki za drutami. Trudno ustalić liczbę zgonów na rewirze. Wiadomo jednak, że były wypadki zastrzelenia więźniów za niby próbę ucieczki.

Z niewiadomych przyczyn w październiku 1944 roku dowództwo obozu zaleciło zorganizowanie chóru. Kierownikiem chóru został Leszek Drobik. W obozie było kilku więźniów z utalentowanym głosem i czasami posłuchanie pieśni było kojącym przeżyciem dla umęczonych więźniów.

Polecono również zorganizować w obozie drużynę piłki nożnej. Kierownikiem został Korycki. Nie bardzo mieli ochotę na sport więźniowie. Meczów nie rozgrywano.

W Halbau dzięki inicjatywie kpt. pil. inż. Kulikowskiego oraz

inż. Słupczyńskiego powstała organizacja biernej samoobrony. Do inicjatorów tej organizacji dooptowano również mnie. Zasadniczym zadaniem organizacji było przeprowadzenie w wypadku likwidacji więźniów buntu. Plan operacyjny był opracowany dość dokładnie. Wtajemniczono w sprawę organizacyjne kilkunastu kolegów, co do których była pewność, że są to ludzie twardzi, którzy w przypadku jakiejś wpadki nie sypną, a poza tym odważnych i zdecydowanych na wszystko. Z tego co pamiętam - na dowódców byli wyznaczeni: St. Olesiński, oficer WP., Wł. Byrski, oficer WP., Dolata, st.sierż. WP., inż. Poźniak. Do organizacji wciągnięto całe komando elektryków, z których pamiętam: Czesława Leśniaka i Lenarta - obaj z Łodzi oraz Adama Lausmana. Do buntu nie doszło, ponieważ zostaliśmy zaskoczeni ewakuacją.

Niezależnie od działalności o charakterze wojskowym organizacja wywierała wpływ na kapów i niektórych blokowych, aby nie zmuszali więźniów do nadmiernego wysiłku i nie bili. Nie wszyscy koledzy potrafili to docenić. Ja jako Lagerkapo głośno krzyczałem, żeby mnie słyszał Lagerältester Kaczyska, ale nie biłem więźniów. Tłumaczyłem im jednak, że gdy ja jestem koło nich, to mogą nie pracować, ale niech się poruszają i udają że pracują. Taki stan rzeczy nie mógł nie zwrócić uwagi Kaczyski. To też pewnego dnia wezwał mnie Kaczyska i blokowego Franka z 1 bloku. Po solidnym biciu przestałem być Lagerkapo, a został nim Franek - volksdeutsch. Mnie wyznaczył na blokowego bloku Nr 1. Na funkcji tej byłem trochę dłużej, ale i z niej zostałem zdjęty przez Kaczyskę. Przewidywałem to, ponieważ na jednej z odpraw blokowych powiedział mi wprost, że ja jestem jego największym wrogiem. Wkrótce po tym zdjęty był również Zdanowski z funkcji blokowego i jeden lub dwóch kapów /nazwisk nie pamiętam/. Był również zdjęty kapo kuchni, Emil, i przeniesiony na blokowego bloku Nr 8. Na jego miejsce wyznaczył Kaczyska Klemensa, który był pomocnikiem Kaczyski w torturowaniu więźniów.

Jednym z mocniejszych akcentów naszej działalności była interwencja inż. Słupczyńskiego /w porozumieniu z nami/ u Werke-kapo Rajnisha. Słupczyński powiedział Rajniszowi: "Hipolit, ja tu nie przychodzę sam i oświadczam ci, że jeżeli chcesz przeżyć wojnę, to nie bij więźniów, a zaręczam, że włos z głowy ci nie spadnie, jeżeli zastosujesz się do moich rad". Było to posunięcie bardzo ryzykowne, bo wystarczyło by Rajnisz zameldował SS-manom, a inż. Słupczyński po przesłuchaniach znanych nam z Gestapo zostałby powieszony. Interwencja odniosła skutek, chociaż Rajnisz tłumaczył się, że Kaczyska zabije go. Traktowanie więźniów w komandzie fabryki znacznie się poprawiło.

Stosowany był mały sabotaż, ale w sposób niezwykle ostrożny, aby Niemcy nie mogli się zorientować. Poważniejszą sprawą było wyniesienie z fabryki skórzanego pasa transmisyjnego, centralnego napędu, szerokości 30 cm i kilka metrów długości /był to pas rezerwowy/. Przeniesiono go w kawałkach pod bluzami.

Praca była ciężka, określona pewnymi warunkami. O stan BHP wogóle się nie troszczono. Starano się tylko maksymalnie wykorzystać siłę roboczą. Za pracę wykonaną według ustalonych norm więźniowie otrzymywali boni premiiowe, za które nie zawsze można było coś kupić. Więźniowie którzy nie wyrabiali norm, bonów nie otrzymywali. Młodociani byli tak samo zatrudniani jak dorośli i takie same do nich stosowano wymagania.

Ucieczek z obozu było niewiele, 2 lub 3. Dokładnie pamiętam 2. W jednym przypadku uciekł jeden major radziecki i prawdopodobnie ucieczka była udana, ponieważ go nie dostarczono do obozu /ani jego trupa/. W drugiej ucieczce brało udział dwóch więźniów: Polak i Rosjanin. Ucieczka ta częściowo się udała, gdyż Rosjanina Cartakowa złapano, o czym będę pisał dalej.

Załoga SS składała się z esesmanów Niemców i częściowo Ukraińców. Załoga ta liczyła w przybliżeniu 50 esesmanów, którymi dowodził Heshaus. SS-mani byli uzbrojeni w pistolety maszynowe i włoskie karabiny.

W wyjątkowo sadystyczny sposób zamordowano Cartakowa. W sierpniu lub wrześniu 2 więźniów z mojego bloku nosiło rano kawę esesmanom. Pewnego dnia po zanieśieniu kawy poszli w las. Nazwiska Polaka nie pamiętam. Po paru dniach jednego z nich złapano. Był nim Cartakow, bardzo przyzwoity i kulturalny człowiek, podobno oficer radziecki. Gdy go przyprowadzono przedstawiał straszliwy obraz. Dreluchy na nim były poszarpane, prawdopodobnie przez psy, pokrwawiony z opuchniętą i czarną od pyłu twarzą. Lagerführer Heshaus kazał go wykapać. SS-mani zaprowadzili go nad strumyk przepływający obok obozu, i tam go wrzucili. Zaczął się topić mimo, że było dość płytko, ponieważ miał związane z tyłu ręce. Wyciągnęli go z tego strumyka i kazali maszerować. Po przejściu kilku kroków otrzymał uderzenia kolanami, po których padał na twarz. Leżącego kopali zmuszając do wstania. Droga, którą go prowadzono, wiodła przez łąkę i miała około 200 metrów. Ze szczytowych okien mojego bloku mieliśmy bardzo dobrą widoczność. Na całej długości drogi, którą przebywał, padał pod uderzeniami co 5 metrów. Wreszcie kiedy doszedł do drogi polnej biegnącej obok drutów obozu upadł na nie i nie mógł już wstać mimo bicia i kopania. Wtedy jeden z esesmanów przybił go bagnetem do ziemi. Następnie zawołali 4 więźniów z obozu, aby go zanieśli przed rewir. Kaczyska kazał go rozebrać i obmyć wodą z węża gumowego. Przy zabiegu tym nacisnął na kłótkę piersiową aby pokazać doktorowi Żaczkowi skutki pobicia. Spod skóry wystawały końce połamanych żeber. Pod wpływem bólu i wody Cartakow jęknął. Nie wrzucono go do trupiarni, ale Lagerältester Kaczyska nie pozwolił zabrać go na rewir. Cartakow odzyskał jeszcze przytomność i opowiadał jak go złapano. Kolejdy podawali mu co kto mógł, ktoś osłodził kawę cukrem z paczki, ktoś inny podawał coś do jedzenia. Każdy chciał mu pomóc. Ja osobiście prosiłem dr-a Żaczka aby go ratował. Dr. Żaczek powiedział mi, że dla niego nie ma już ratunku. "Nie łudźcie się, że odzyskał przytomność, za chwilę czy za parę minut nastąpi krwotok i to będzie koniec. Jemu już nic nie pomoże". I tak się stało. W godzinę po obiedzie lub w obiad zakończył życie. Został pochowany za drutami niedaleko bramy. Polakowi, który uciekł z nim, najprawdopodobniej udało się ucieczką, ponieważ nie dostarczono go do obozu /ani jego trupa/.

Ponadto były 2 lub 3 przypadki zamrożenia. Taką egzekucję zawsze wykonywał sam Kaczyska. Po prostu wrzucał więźnia do wielkiej wanny z wodą, która znajdowała się w kuchni, a następnie wyrzucał go na mroź, zabraniając jednocześnie wejścia na blok. Po jakimś czasie więzień zamarzał. Często stosowaną karą było wieszanie więźnia za ręce związane z tyłu. Takich przypadków było wiele. Trzy przypadki mocniej utrwaliły mi się w pamięci. A więc jeden Rosjanin wisiał za planowaną ucieczkę, ale mimo bólu - bo nie dosyć że wisiał to jeszcze go bito - nie sypnął nikogo. Drugi przypadek miał miejsce na bloku Nr 6, u Zdanowskiego. Tam znowu powiesili St. Jankowskiego, którego znałem jeszcze z konspiracji, za przyniesienie gazety niemieckiej o Powstaniu Warszawskim. Sprawa jest mi dobrze znana, ponieważ ja sam tą gazetę czytałem. Trzeci przypadek miał miejsce na kuchni, gdzie powieszono jednego Łódzianina i tak go strasznie zbił Kaczyska razem z kapem kuchni Klemensem, że twarz miał całkowicie zmasakrowaną. Gdy go oprowadzano po blokach, aby pokazać innym więźniom, to nie mogłem go poznać.

Poza tym dokładnie pamiętam jak z jednego młodego chłopaka o nazwisku Skalik zrobił Kaczyska wariata i kazał mu iść za bramę, gdzie go esesman zastrzelił. Pochowany został za drutami.

Więcej ucieczek miało miejsce podczas ewakuacji. W czasie marszu z jednego z postojów dość wcześnie zarządzono wymarsz. Było jeszcze ciemno i była mgła. Maszerowaliśmy przez las. Pod osłoną nocy uciekło wtedy wielu więźniów, min. Jankowski, bo później już go nie widziałem. Znałem go trochę bliżej od czasu pamiętnej gazety.

12 Lutego nastąpiła niespodziewana ewakuacja obozu. Na ewakuację esesmani przygotowali 4 wielkie i ciężkie wozy meblowe, w których ulokowali siebie i swoje rodziny. Do wozów zaczepiono długie stalowe liny, do których umocowano drągi o długości około 2 metrów. Siłę pociągową stanowili więźniowie po 4-ch przy każdym drągu. Całe komando podzielono na 4 grupy, przydzielone do poszczególnych wozów.

Pewną liczbę więźniów pozostawiono na rewirze. Było ich około 60 osób; rewir nie był w stanie więcej pomieścić. Selekcję przeprowadzał na rewirze Lagerführer Heshaus, i nie przypuszczam, aby na rewirze pozostał ktoś zdolny do marszu, nawet jeśli był chory. Widziałem jak esesmani przeszukiwali wszystkie kąty i wyciągnęli 1 kolegę z kanału. Został pobity i zdaje się że go rozstrzelano. Z chorymi pozostał 1 lekarz, którego nazwiska nie pamiętam. Zginął w czasie opanowywania obozu przez oddział Armii Radzieckiej. Z więźniami pozostał Raportführer. Przypuszczam, że tylko on jeden był na rewirze z więźniami, ponieważ widziałem jak dołączył do naszej kolumny i od niego dowiedzieliśmy się, że chorzy nie zostali zlikwidowani.

Kolumna posuwała się bardzo wolno ze względu na śliską jezdnię i drewniaki, w które byliśmy obuci. Ubrani byliśmy w pasiaki. Było nam bardzo zimno. Po dwóch lub trzech dniach zaczęli padać pierwsi koledzy na skutek głodu i wyczerpania. Jako codzienne wyżywienie otrzymywaliśmy 1/4 chleba, a w przypadku przechodzenia koło jakiegoś obozu dostawaliśmy trochę zupy z brukwi, ale wtedy chleba nie otrzymywaliśmy. Wycieńczonych i osłabionych więźniów ładowano na ostatni wóz i w najbliższym lesie zabijano. Więźniów zabijał osobiście Lagerführer Heshaus pojedynczymi strzałami z pistoletu maszynowego. Drgających jeszcze więźniów dobijali esesmani z karabinów. W czasie marszu, który trwał 3 tygodnie, wystrzelano co najmniej 1/3 komanda, albo więcej.

W końcowej fazie wędrówki marsz był coraz bardziej uciążliwy na skutek zmniejszonej liczby więźniów ciągnących wozy. Wreszcie zdecydowano się załadować nas do wagonów towarowych. Resztę drogi odbywaliśmy pociągiem. Podróż ta trwała około 7 dni. W tym czasie zmarło jeszcze z głodu i wyczerpania bardzo dużo kolegów. W czasie marszu dostawaliśmy "pajdkę" chleba na cały dzień. W pociągu nie każdego dnia dostawaliśmy kawałek chleba na cały dzień.

Po przyjeździe do Bergen-Belsen byliśmy tak osłabieni, że esesmani pozwolili nam trzymać się pod ręce. Na krótkim odcinku drogi od stacji kolejowej do obozu - około 7 kilometrów - padło jeszcze wielu kolegów; zostali oni zastrzeleni. Dotarcia do obozu pragnęliśmy co najmniej tak jak powrotu do domu. Łudziliśmy się, że w obozie dostaniemy kawałek chleba i tzw. zupę - składającą się z wody i brukwi. Poza tym była jakaś możliwość umycia się. Byliśmy zawsze- ni. Przez cały czas ewakuacji nie myliśmy się.

Po wejściu do obozu doznaliśmy ogromnego rozczarowania. Na terenie obozu głębokie błoto, a w nim pełno trupów. Rozmieszczono nas na blokach o wymiarach około 6 x 8 metrów w ilości 500 lub więcej osób na bloku. Sytuacja była tego rodzaju, że nie można było się położyć ani wygodnie usiąść. O spaniu nie było mowy, gdyż przez całą noc rozlegały się jakieś zwierzęce wycia, piski i wrzaski. To już nie byli normalni ludzie. Każda noc dawała 50 do 60 trupów. Na terenie obozu zaczęła się szerzyć epidemia tyfusu plamistego i durchfallu, kończąc dzieło zniszczenia rozpoczęte przez Niemców.

Z komanda liczącego 1200 więźniów po uwolnieniu przez Anglików
doliczyliśmy się około 30, którzy przeżyli. Po powrocie do kraju
wielu zmarło. Obecnie żyje może kilku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.13.3.7.



Kopia listu wysłanego z komando Halbau. Aleksander Pytel nie
przewidywał jeszcze ewakuacji do Bergen-Belsen, gdzie skończy
życie. Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.87.

MOJE WSPOMNIENIA Z HALBAU

Zostałem aresztowany jako podejrzany o działalność polityczną 12.V.1944 roku, pod nazwiskiem "Klimczak", i doprowadzony przez 2-ch gestapowców do budynku, w którym urzędował Landrat i była wartownia żandarmerii i policji - w Łomży. Wprowadzono mnie do jednego z pokoi, w którym zauważyłem jeszcze 3-ch gestapowców w mundurach i jednego Niemca po cywilnemu.

Po podaniu przeze mnie personalii - ów cywil zerwał się z krzesła - skoczył do mnie i uderzył mnie kilka razy w twarz, aż się przewróciłem. Podnosząc się - 2-ch gestapowców mnie kopnęło. Następnie wszyscy trzej żądali, abym im powiedział gdzie mam broń i bibułę komunistyczną, bo jak nie, to mnie wieczorem zastarzela. A gdy znowu odpowiedziałem przecząco, że nic o tym nie wiem i że raczej jest to pomyłka, ogarnęła ich wścieklizna i każdy z krzykiem zaczął mnie okładać na nowo - to rękami, to gumą, a nawet nogą od krzesła. A gdy na skutek pobicia leżałem zemdlony i okrwawiony - jeden z gestapowców wylał na mnie zawartość wody z miski, w której ręce myli, a następnie szczuli mnie psem. Słaniającego się od bólu - zmuszono mnie do wymycia podłogi ze śladów krwi i wylanych brudów.

W ciągu dalszego "badania" przez gestapo, które nie było im na rękę, że nic i o niczym nie wiem, i po otrzymaniu nowej porcji bicia zawleczono mnie do samochodu i zawieziono skutego do więzienia w Łomży - i osadzono w celi Nr 56 na piętrze.

Tego samego dnia w nocy około godziny 24-tej przyszedł po mnie strażnik i sprowadził mnie na parter budynku więzienia - gdzie znowu oczekiwali na mnie 2 gestapowcy z psami. Esesmani ci oświadczyli mi, że o ile powiem im, gdzie ukryłem broń i bibułę, oraz z kim ostatnio się spotykałem etc. etc. - to mnie zwolnią. Ponieważ dalej nie wierzyłem ich obietnicom i twardo stałem przy swoim "nie" - więc zaczęła się kolejna runda bicia i szczucia psami. Po tej operacji - nieprzytomnego zawlekli mnie do celi, gdzie rano po przebudzeniu nie mogłem dobrze patrzeć na oczy, gdyż całą twarz i głowę miałem opuchniętą, ręce i ciało pokaleczone - ubranie na mnie poszarpane przez psy.

Badania takie przechodziłem jeszcze kilkakrotnie - które kończyły się dotkliwymi pobiciami i groźbami zastrzelenia - tj. do chwili gdy ruszył front radzieckich wojsk i parł nieprzerwaną siłą - gromiąc hitlerowskie bestie, które będąc w obawie dnia 11.VII.1944 roku wywieźli mnie wraz z innymi więźniami do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Po przebytej 8 dniowej kwarantannie w Gross-Rosen, blok 9, wysłany zostałem wraz z innymi więźniami do filii tego obozu w miejscowości Halbau, gdzie przebywałem do stycznia 1945 roku i byłem zatrudniony w ss-szrajbsztubie, wraz z dwoma kolegami więźniami, a to:

1/ Szwacki Julian, pracownik Kuratorium Okręgu Szkolnego w Łomży, oraz 2/ Dr Zaremba Ludwik, zam. w Warszawie - obaj władający biegle językiem niemieckim w słowie i piśmie.

Moim zadaniem było doręczać kolegom więźniom ich zarobki wg. listy, na której kwitowali odbiór w postaci bonów /zastępujących marki/ oraz listy od rodzin, które uprzednio zostały ocenzone przez esesmanów, zawiadamiające o nadejściu paczki, zamiata- nie, palenie w piecu.

Składu osobowego kierownictwa obozu w Gross-Rosen, ze względu na krótki pobyt - nie znałem. Zadowolony jednak byłem jak i wielu innych współwięźniów, którzy byli wyznaczeni do filii obozu w Halbau, a to ze względu na okrucieństwa popełniane przez blokowego tego bloku nr 9 imieniem "Iwan". Był to typ sadysty-zwyrodnialca, który pod wpływem alkoholu czy innych narkotyków otrzymywanych od "swoich wielbicieli Niemców", na oczach zgromadzonych więźniów bił, kopał, aż do utraty przytomności, a nawet pozbawiał życia.

Natomiast w filii obozu w Halbau, komendantem obozu był ober-schturnbanführer /nazwiska nie pamiętam/, jego zastępcą ober-scharführer Heshaus /imienia nie pamiętam/, w wieku około 45 lat; Rapportunterscharführer Kratz, lat około 30, plus około 30 esesmanów /Niemców i Ukraińców/, kilka psów oraz tzw. Lagerältester, czyli kierownik obozu, wyznaczony prawdopodobnie jeszcze w Gross-Rosen, gdzie rzekomo miał być blokowym bloku 10 lub 11 - Kaczyska Stanislaus, kryminalista, przezwisko nadane przez więźniów "Wilk". Typ zbliżony do wyżej opisanego "Iwana", lecz zapędy jego niejednokrotnie powstrzymywał Rapportunterscharführer - Kratz /wyjątkowy typ Niemca o szlachetnej duszy/ - przez co dochodziło do częstych publicznych awantur między nim, a zastępcą komendanta obozu Heshausem, na skutek oskarżeń przez Kaczyskę.

Około połowy miesiąca stycznia 1945 r. na skutek energicznych działań wojennych przeciwko Niemcom zarządzono ewakuację obozu w Halbau z pozostawieniem chorych i personelu obsługującego chorych, jak: dr Żaczek, farmaceuta z Warszawy /nazwiska nie pamiętam/ i wielu innych.

Obóz - to znaczy więźniów - w liczbie około 800 - 900 podlegających ewakuacji podzielono na trzy grupy.

I grupa ciągnęła wóz meblowy /typu Hartwig/, na linkach stalowych, tj. czwórkami /w środku 2-ch oraz po 1 po bokach/ - w którym zastępca obozu Heshaus zainstalował się z rodziną, oraz przydzielony na krótko przed ewakuacją - Scharführer /nazwiska nie pamiętam/, chodził o lasce - również słynny z okrucieństwa w stosunku do więźniów.

II grupa ciągnęła wóz chłopski - zadaszony, na linkach stalowych, załadowany tornistrami i walizami esesmanów.

III grupa ciągnęła wóz chłopski, bez zadaszania, również na linkach stalowych, na którym były łopaty, kilofy oraz część wozu załadowana chlebem.

Cała ta karawana prowadzona była nieznanyymi polnymi i leśnymi drogami, a gdy zbliżała się noc, to kierownictwo obozu starało się zawsze koncentrować obóz na terenach oddalonych od zabudowań i głównych dróg, ażeby nie można było się orientować o kierunku tego pochodu. Wiadomo tylko było, że oddalamy się na zachód.

W ciągu kilkudniowego marszu dużo więźniów padło z wycieńczenia i głodu, których lokowaliśmy na wozie i ciągnęliśmy, aby wypoczęli i dalej iść mogli. A gdy przybywało ich coraz więcej i esesmani zauważyli, że nie możemy podołać, więc zatrzymywali cały pochód i tych co iść nie mogli, kazali im wysiąść, gdzie w rowach przy leśnych drogach strzelali do nich, zabijając ich, a blokowym kazano ich zagrzebać. Z kolumny w której ciągnęliśmy

wóz zauważyłem strzelającego, między innymi nieznanymi esesmanami - esesmana Heshausa.

Po dokonaniu tej zbrodni, Heshaus wraz z innymi esesmanami i Lagerältesterem Kaczyską przeszli przez całą długość "pochodu" więźniów, dokonując dalszej selekcji więźniów, których następnie bestialsko mordowali - strzelając do nich.

Wśród zamordowanych było dwóch moich kolegów: Slasko Jan, rolnik ze wsi Dzierzbia, gm. Stawiski, pow. Łomża i Galas Edward szewc, zam. w Łomży, ul. Dworna 5, o których donieśli mi koledzy więźniowie, idący w tyle pochodu, przekazując wiadomość kolejno jeden drugiemu.

Podobne zbrodnie powtórzone były jeszcze dwukrotnie w czasie tego marszu, na bezbronnych, wycieńczonych, głodnych i chorych, obdartych i bosych więźniach - nie czujących bólu od bicia kolbami i ran powstałych wskutek okaleczeń nóg, gdyż "trepy" dawno już z nóg pospadały i szliśmy boso.

Pewnego dnia kierownictwo obozu wykorzystało skład transportu pustych towarowych wagonów kolejowych, które jak się domyślaliśmy, ze względu na działania wojenne nie mogły jechać w zaplanowanym kierunku i w związku z tym cały pozostały transport załadowano do wagonów.

Po dwóch dniach jazdy pociąg zatrzymał się w polu i z wagonów widać było napis obozu koncentracyjnego w Erfurcie, gdzie kierownictwo naszego obozu chciało nas "sprzedać" za cenę sprzętu biurowego /biurka, krzesła, maszyny do pisania etc./ - lecz do zgody nie doszło i po około dwugodzinnym postoju pociąg ruszył w dalszą drogę.

Następną stacją okazał się obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie, gdzie oferowany sprzęt i więźniowie nie znaleźli chętnych nabywców, gdyż przed przyjazdem naszego pociągu uprzedził transport z więźniami żydowskimi z Węgier.

Ponieważ po kilku dniach jazdy więźniowie nie otrzymywali żadnego pożywienia, ani picia - z wycieńczenia i choroby masowo marli - wobec czego do wagonów z nieboszczykami / a właściwie były prawie we wszystkich wagonach / rozprawdzili sporo wapna sproszkowanego, którym posypywali ciała zmarłych, w obawie przed wybuchem epidemii.

Po dalszych kilku dniach jazdy pociąg zajechał na bocznice /pole i las/, gdzie przy krzykach i biciu przez esesmanów wyciągnięto nas na wpół żywych więźniów, którym kazano ustawić się czwórkami i trzymając się pod ręce maszerować. Ilu więźniów zostało zabitych w drodze podczas "pochodu" z ciągniętymi wozami, oraz ile zmarło w wagonach chorych, którzy nie mogli iść o własnych siłach, nie wiem. W każdym razie obliczaliśmy na 45 - 50%.

Szliśmy w tym kondukcje popychani, kopani i bici kolbami, nieczuli i w półprzytomni, około 7 km, gdzie u celu zdążyliśmy zauważyć napis nowego obozu koncentracyjnego w Belsen-Bergen.

Na terenie obozu widoczne były cienie więźniów i leżące już zastygłe ciała - a właściwie to szkielety.

Dalej na placu, gdzie nas prowadzono, widać stos ciał ludzkich, z których część była obnażona i ponumerowana / w oczekiwaniu na transport do spalenia/, zaś reszta w toku tych operacji, przez wyznaczonych do tego celu więźniów.

Po przekazaniu nas nowym władzom obozowym otrzymałem nowy numer 15619, a następnie zapędzono nas do bloku /a właściwie do mordowni/, gdzie wskutek zbyt wielkiej ciasnoty nie tylko nie można było usiąść na posadzce, ale trudno było stać. Rezultat

rannego apelu /w przybliżeniu/

380 żywych

28 ciężko chorych

92 uduszonych

500.-

Po kilkudniowej męczarni wybrano grupę 40 więźniów, a wśród nich i mnie, do tzw. "Leichen Komando" i umieszczono nas w baraku gdzie mieliśmy spanie /jeden obok drugiego/ na pryzkach. Lecz spać nie dawało robactwo, gdyż bardzo dokuczało.

Zadaniem tej grupy było odwożenieprzyczepą samochodową ciężarową nieboszczyków do paleniska lub inaczej stosu, o rozmiarach 100x100 m², który palił się całą dobę, podsycany ropą lub benzyną, ponieważ krematorium nie nadążało palić zwłok.

Wokół paleniska układane były ciała /jak szczapy drzewa/ i stopniowo dorzucane na ten stos przez inną grupę ludzi.

Po 3-ch dniach pracy ciężko się rozchorowałem i przeniesiono mnie do innego baraku /numeru już nie pamiętam/, gdzie było dużo chorych i nieboszczyków. Barak był bez okien i bez drzwi, zimno i przeciągi oraz zacinające deszcze dawały się we znaki - potęgując śmiertelność.

W obozie panowała epidemia tyfusu i tzw. "durchfall". Więźniowie padali jak muchy.

Przyjeżdżające transporty więźniów z innych miejscowości, jak: Dora, Sachsenhausen, Mauthausen i wiele innych /których dzisiaj trudno mi jest przypomnieć/ - w przeciągu kilku dni się skończyły.

Podczas każdego apelu niektórzy esesmani "uzbrojeni" w szpryce-strzykawkę z fenolem lub innym płynem trującym, dokonywali masowych nakłuć więźniów w piersi - serce, po których w niedługim czasie zaraz na apelu się kończyli, względnie w innych miejscach, jak: w latrynie, w baraku.

Ja osobiście złapałem w baraku około 12 gatunków wszy /czarne, zielone, czerwone w czarne kropki, białe szare, żółte z krzyżami, czarne z białymi pasami/, które ulokowałem w znalezionej próbówce, lecz przy masowej rewizji w barakach przez esesmanów próbkę tę wyrzuciłem. Jak się domyślałem były to wszy specjalnie wychodowane - roznoszące epidemię.

Dnia 15 kwietnia 1945 r. obóz został oswobodzony przez wojska brytyjskie. W kuchni dla więźniów znaleziono kilka beczek "cyklonu", który dosypywano do jedzenia i truto więźniów.

Zatrzymano również dużo esesmanów z komendantem obozu Kramrem i Rapportführerem /nazwisko nieznane/, który popełnił samobójstwo przez utopienie się w fontannie.

Ponieważ nie miałem siły chodzić /ważyłem 36 kg/ i byłem zaliczony do tak zwanych muzulmanów, przeto skierowany zostałem do szpitala obozowego w Fallingbostell, gdzie przebywałem do 24.VII. 1945 roku.

25.VII.45 r. wysłany zostałem ze szpitala obozowego na kurację do Szwecji, gdzie po 2 i pół miesięcznym pobycie powróciłem jako pierwszy do kraju.

Jak się dowiedziałem, to koledzy moi również donieśli do władz wojskowych, które nas wyswobodziły, o wydanie władzom polskim w drodze ekstradycji Lagerältestera - Kaczyskę.

Kaczyska Stanislaus został wydany i sądzony w 1947 roku przez Sąd Okręgowy w Łodzi, gdzie wyrokiem tegoż Sądu skazany został na karę śmierci.

Podając powyższe do wiadomości dodaję, że mogłem dużo momentów pominąć, a to ze względu na długi okres i przebyte choroby.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.13.3.6.

PAMIĘTAM HALBAU

W czerwcu 1944 roku w Łomżyńskim obwodzie Armii Krajowej Niemcy urządzili wielkie aresztowania akowców. Około tysiąca ludzi osadzono w więzieniu w Łomży. Warunki w nim były okropne, dawano od 10-15 dkg chleba, brak łóżek, ziemniaków, koców, torturowanie, bicie i rozstrzeliwanie.

W lipcu przywieziono nad do Gross-Rosen i następnie do Halbau - filii obozu Gross-Rosen położonej 14 km od Żagania i przeszło 50 km od Zgorzelca. Założono tu fabrykę śmigieł do samolotów.

Gdy nas przywieziono, zastaliśmy nowe drewniane baraki i pojedyncze ogrodzenie z drutu kolczastego. Stan obozu - około 1100 więźniów. Na drugi dzień komendant wybrał władze obozowe: blokowych, zastępców, kapo, a następnie rozdzielono więźniów do poszczególnych komand roboczych.

Najliczniejsze było komando fabryczne - około 600 osób, do którego i mnie przydzielono. Praca była ciężka, wyczerpująca, na dwie zmiany nocną i dzienną. Każdy więzień miał obrobić dwa aluminiowe skrzydła samolotowe na jednej zmianie z precyzyjną dokładnością. Gdy zauważono najdrobniejszą niedokładność, traktowano to za sabotaż i karano biciem. W fabryce nie było nawet prymitywnych warunków higienicznych, to jest wody, mydła i ręczników. W krótkim czasie twarze i ręce były pokryte aluminiowym pyłem. Tego pyłu aluminiowego było pełno również w pasiakach. Nasze ciała jadły wszy, pchły i pluskwy. Odżywienie było bardzo słabe - zupa z zieleniny i kawałek chleba raz dziennie.

Takie warunki i zabójcza praca powodowały, że coraz częściej niesiono z pracy chorych kolegów do obozu. Fabryka była oddalona około 3 km od obozu.

Również morderczą była praca w komando transportowym. Ponad 40 więźniów musiało wyładować i załadować cztery wagony śmigieł do samolotów.

Gdy śmiertelność więźniów zaczęła się zwiększać, powiększono porcję chleba do 1/2 kg.

Początkowo zwłoki wywożono w skrzyniach do Gross-Rosen i przywożono nowych Zugangów na uzupełnienie stanu więźniów.

W obozie było 8 bloków mieszkalnych dla więźniów, rewir i kuchnia. Najlepszym blokowym był Dolata na bloku 2. Więźniowie zapamiętali Józefa Michalaka z bloku 3 i "Franka" z bloku 4 oraz okrutnego "Wilka" - Lagerältestera - zwyrodnialca i sadystę. Nie zaznałem też troski ze strony doktora Żaczka z Warszawy.

Pewnego razu zachorowałem, miałem gorączkę, nie mogłem jeść, ani głośno mówić - bolało mnie gardło. Zgłosiłem się do szpitala obozowego, ale dr Żaczek odmówił mi przyjęcia do rewiru. Pracowałem wtedy w komando "Planirung" przy porządkowaniu i wyrównywaniu terenu obozowego. Silne wiatry i białe poranne mrozy powodowały dantejskie cierpienia i wzrost zachorowań, gdyż chodziliśmy ubrani tylko w pasiaki i prawie boso. Uratował mi wtedy życie Dolata - blokowy, który pozwolił mi przebywać na bloku w czasie pracy. Gdy gorączka opadła i poczułem się silniejszy, wróciłem do pracy w fabryce.

Zdarzyło się znowu, że kolega - współwięzień uderzył mnie w nogę w okolicach kostki podkładem drewnianym. Obwiązałem to miejsce znalezioną szmatą, do wycierania maszyn, gdyż nie było pod rę-

ką nic lepszego. Jednak po przespanej nocy, gdy obudził mnie gong poranny, zobaczyłem na swej nodze czarną ranę. Ból nie pozwalał mi na niej stanąć. Gdy po apelu skacząc na jednej nodze dołączyłem do swego komanda, kapo uderzył mnie dwa razy kijem krzycząc na mnie: "co ty, cholero, żarty sobie stroisz?!"

Pobity, bezradny pozostałem sam. Skacząc na jednej nodze dotarłem do rewiru. Tu jednak dr Żaczek ponownie odmówił mi przyjęcia - twierdząc, że nie ma miejsc wolnych. Tłumaczyłem mu i prosiłem wtedy mówiąc: gdzie ja mam znaleźć miejsce? Pan mnie nie chce przyjąć, do roboty się nie nadaję, blokowy wypędza z bloku, a po terenie obozu podczas pracy nie wolno się włóczyć, gdyż czeka za to męcząca śmierć... Żaczek odpowiedział, że nic na to nie poradzi.

Przez kilka dni rozpoczęło się dla mnie i paru innych towarzyszy niedoli ukrywanie na terenie obozu od apelu porannego do godziny 19-tej po różnych dziurach, w ubikacjach pod ciągłym strachem śmierci. Doprowadzony do ostateczności poszedłem wraz z innymi do blokowego. Ten bluźniąc w okropny sposób, strasząc biciem kazał iść na druty. Jednak w końcu pozwolił nam pozostać na bloku. Rany w obozie się nie goiły, więc tu pozostałem do końca.

Zbliżał się front, słychać było odgłosy karabinów maszynowych. Zarządzono ewakuację obozu. Było to 12 lutego 1945 roku. Słyszano się pogłoski, że ci, co nie mogli iść, będą rozstrzelani. W pewnej chwili ogłoszono, żeby wystąpili chorzy lub ci, co nie mogą iść. Z trzech bloków ustawiono się około dwustu ludzi. Przyszedł komendant obozu i zaczął tłumaczyć, żeby dołączyć do grupy ewakuacyjnej, bo przemarsz tylko do Zgorzelca, a tam już nie będziemy pracować, a chleba będzie dużo. Niektórzy zostali przekonani i odeszli do kolumny ewakuacyjnej.

Gdy esesmani odeszli na teren obozu, aby przygotować więźniów do konwoju, przybiegł lagrowy "Wilk" krzycząc, że zawoła esesmanów, aby wszystkich rozstrzelać. Wtedy powstała panika. Pozostało nas tylko dwudziestu kilku zdecydowanych na śmierć. "Wilk" bił nas i starał się siłą zmusić do ewakuacji. Mnie uderzył w twarz, w brzuch kopnął w ranę na kostce nogi wrzeszcząc, że zaraz będę rozstrzelany. Powiedziałem mu stanowczo "strzelajcie, nie ruszę się z miejsca".

Zostało nas w obozie 142. Tydzień czasu trwały walki w Halbau. Oswobodziła nas armia radziecka 19 lutego 1945 roku. Zostało nas przy życiu 140-tu.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.13.3.9.